

Inga Vesper

**BARDZO
DŁUGIE
POPOŁUDNIE**

Z języka angielskiego przełożył

Jacek Żuławnik

Tytuł oryginału: *The long, long afternoon*

Copyright © by Inga Vesper, 2021

Copyright for the Polish edition © by Burda Media Polska Sp. z o.o., 2021

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Tłumaczenie: Jacek Żuławnik

Redakcja, korekta i skład: d2d.pl

Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Zdjęcia na okładce: CSA Images / GettyImages, Michael Blann / GettyImages,
IP Galanternik D.U. / iStock, Beauty Stock / Shutterstock

ISBN 978-83-8053-925-9

Druk: Abedik SA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.slowne.pl

Opisane w książce osoby, miejsca oraz zdarzenia są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących lub zmarłych, miejsc oraz zdarzeń jest czysto przypadkowe. Obrażliwy język i poglądy przedstawione w powieści stanowią odzwierciedlenie ducha czasów, w których rozgrywa się akcja, i nie należy ich utożsamiać z poglądami autorki.

*Birgit,
w podziękowaniu za wszystkie książki*

1

Joyce

Wczoraj pocałowałam męża po raz ostatni.

On oczywiście jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, sama zresztą też nie do końca mogę w to uwierzyć, ale kiedy obudziłam się dziś rano, wiedziałam, że to prawda.

Stoję na tarasie, próbując wejrzeć w przyszłość, i mam wrażenie, jakby nie obejmowała nic poza chłodnym, nieruchomym powietrzem poranka, będącym obietnicą popołudniowego upału.

Nie potrafię przewidzieć, co będzie dalej.

Spędzę tu jeszcze pięć minut, będę piła kawę i podziwiała barwy ogrodu w pierwszych promieniach słońca.

Podwórze skrzy się kolorami: zielenią trawnika jak z obrazka, łososiowym odcieniem płytek na patio, bielą ogrodzenia otaczającego dom, szkarłatem pelargonii w terakotowej donicy. Rozciąga się nad nim jasne, błękitne niebo, odrobinę ciemniejsze i lekko zamglone na obrzeżach, tam gdzie z trudem dociera mój zmęczony wzrok. Woda w basenie jest ciemnoniebieska i tak przejrzysta, że mam ochotę wskoczyć, zanurzyć się w niej i rozpuścić jak tabletki aspiryny.

Chciałabym móc uwiecznić tę chwilę na papierze, zanim odejdzie. Ale już dawno temu pozbyłam się przyborów

do malowania. Splatam więc dłonie wokół kubka i utrwalam widok w pamięci. Już nigdy nie zobaczę takiego poranka.

Trzeba podlać pelargonie. Sama nie mogę tego zrobić, bo mam ostatni dzień miesiączki. Frank nie lubi, kiedy podlewam kwiaty w czasie menstruacji. Mówi, że więdną od kobiecych miazmatów, dlatego lepiej zostawić to służącej. Ale Ruby przyjdzie dopiero po południu. Trudno, będą musiały zaczekać.

Zgadzam się z nim, rzecz jasna, i nie komentuję tego, że jednocześnie twierdzi, iż Murzyni nie potrafią o nic zadbać, dlatego w oknach ich domów nie uświadczysz skrzynek na kwiaty, a ich dzieci często umierają w niemowlęctwie.

Mroczne myśli zasnuwają świat w mojej głowie i pochłaniają światło. Rozproszyłaby je tabletką mellarilu, ale nie, nie potrzebuję jej. Jeszcze nie teraz. Poranek niesie ze sobą nadzieję, popołudnie zaś upływa pod znakiem desperacji, czas rozciąga się w nieskończoność i zarazem kurczy do krótkiej chwili, gdy wypełniają go pranie, odkurzanie, szykowanie kolacji i czuwanie nad dziećmi, które nie potrafią usiedzieć na miejscu i mogą wpaść do basenu.

Gdzie będę jutro o tej porze?

Serce mi wali, krew szumi w uszach. Po raz pierwszy w życiu nie wiem. I po raz pierwszy od wielu lat czekam z utęsknieniem na popołudnie.

Mam ochotę malować. Po wizycie u lekarza mogłabym wstąpić do sklepu i kupić materiały. Miałabym zajęcia na czas poobiedniej drzemki dzieci, wypełniłabym te wlekące się godziny, ślimaczące się minuty, to popołudnie, kiedy pelargonie więdną w skwarze, a mój umysł kruszy się w pył.

W moim brzuchu odzywa się ból, o którym zdążyłam zapomnieć. Menstruacja – to oczywiście też, ale oprócz tego mroczne myśli. Galaktyki krwi.

Jak daleko sięgają moje kobiece miazmaty? Wyobrażam je sobie jako nimb, otaczający mnie jak świętą. Tyle że ta moja aureola nie jest jasna jak światło, lecz ciemnoczerwona, ja zaś nie jestem świętą, lecz grzesznicą.

Ostrożnie odstawiam kawę na jeden z leżaków basenowych i sięgam po konewkę. Czuję mrowienie w dłoniach, gdy stykają się z chłodnym metalowym uchwytem. Pierwsza z moich dzisiejszych rewolucji. Na dnie zostało jeszcze trochę wody. Podkradam się do kwiatów, wyciągam rękę i już mam przechylić konewkę, kiedy nagle z wnętrza domu dolatuje mnie przenikliwy wrzask, a po nim niezbyt głośny, jakby trochę leniwy płacz.

Lily się obudziła.

Zastygam. Powinam pójść do córki. Chcę pobiec do niej, przytulić ją, pocieszyć, stłumić jej zawrodoenie. Ale Frank pokazał mi artykuł w gazecie, w którym profesor Summers tłumaczy, że zbyt szybka, natychmiastowa reakcja może nadmiernie rozpieścić dziecko.

W gruncie rzeczy zgadzam się z nim. Wolę spędzić jeszcze kilka chwil na tarasie i zaopiekować się pelargoniami, zanim zajmę się dzieckiem. Czy to czyni mnie złą matką? Gorszą, niż jestem?

Ignoruję płacz córki, podlewam kwiaty wążką strużką, odstawiam konewkę i sięgam po kawę. Dopiję ją tutaj, nad basenem, w towarzystwie jedynie nieba i wody, w której odbija się nieskazitelny błękit. Czystość i ułuda. Prawda i obłuda.

Ty i ja.

2

Ruby

Autobus rusza z szarpnięciem, w zółwym tempie pokonuje dziesięć metrów Southern Boulevard i staje ze zgrzytem. Ruby tłumি westchnienie. Co za upał. Wczoraj było gorąco i jutro też będzie. I co poradzisz? Jakby słyszała mamę. „I co poradzisz, dziewczyno? Jest gorąco, pogódź się z tym. Pan nie ześle deszczu tylko dlatego, że tobie pot spływa po tyłku”.

Właśnie. Ruby ma tak mokre pośladki, że kleją się do plastikowego siedzenia. Wygina plecy w łuk i obciąga spódnice, ale już za późno. Bawełniana tkanina zdążyła się pognieść. Pani Ingram wpadnie w szal.

Szlag by trafił tę robotę.

W taki dzień jak ten powinno się ganiać w szortach, sandałach i z rozpuszczonymi włosami, a nie kisić czaszkę pod kapelutkiem i marynować stopy w tenisówkach. Z utęsknieniem czeka, kiedy będzie mogła wzuć niezgrabne białe kaptcie, przy których upierają się żony Sunnylakes; dzięki nim są w stanie prześledzić drogę każdej drobinki brudu na dywanie i trafić za nią do sprawcy-nanosiciela.

Miejsce z przodu, jak najdalej od Ruby, zajmuje biała kobieta w wielkim kapeluszu na głowie. Przyciska torebkę do piersi i wygląda na zagubioną. Nie odwraca się, więc chyba

nie będzie jej przeszkadzało, jeśli Ruby na chwilę zdejmie tenisówki.

Uldze towarzyszy wyczuwalna serowa woń.

Ruby zerka na zegarek, prezent od Josepha. Minęło południe. Boże drogi, siedzi w tym autobusie już od ponad godziny, a o pierwszej powinna być u pani Ingram. Potem o piątej u pani Haney.

Wreszcie autobus dociera do granicy smogu i rozpoczyna powolną wędrówkę w dół, do Sunnylakes. Rosnące wzdłuż drogi drzewa są jeszcze niskie i cień, który rzucają, nie chroni asfaltu przed prażącymi promieniami słońca. Za oknem przesuwają się domy, każdy identyczny, z zadbanym trawnikiem, ładnym parkanem i frontową elewacją obłożoną imitacją kamienia. Tatko mówi, że prawdziwe kamienie są drogie, dlatego mężczyźni Sunnylakes woleli zamówić imitacje, kiedy stawiali te budynki za swoje ciężko zarobione dolary. Zrób mi pan, żeby było jak z kamienia, niech wygląda jak twierdza, cobym mógł obronić swoją własność przed komuchami, Japońcami i Murzynami.

Ruby chichocze pod nosem. *Za późno, miły panie. Już przestąpiłam próg pana domu.*

Wysiada na rogu Pine Tree Avenue i Roseview Drive. Rusza podjazdem przed domem pani Ingram, mijając plastikową papugę na drucie, którą pani Ingram umieściła na trawniku jako wyrafinowaną ozdobę. Zatrzymuje się przed różowymi drzwiami, wyjmuje klucz spod doniczki i wsuwa go do zamka. Za każdym razem, gdy to robi, coś skręca jej kiszki. Zbyt łatwo znaleźć klucz. Któregoś dnia ktoś się włamie i wyniesie wszystko, co cenne. A wtedy pani Ingram będzie wiedziała, kogo obarczyć winą.

Zresztą, wewnątrz i tak wygląda jak splądrowane. Pani Ingram pracuje – rzadkość w przypadku białej kobiety – i jak często i chętnie powtarza, po prostu nie ma czasu sprzątać.

Ruby wsuwa kaptcie. Potem odkurza, wyciera, myje, szoruje. Na ulicy cisza i spokój, tylko czasem przetoczy się jakieś auto i wtedy Ruby spina się przed nieuchronnym powrotem pani Ingram. Ale dopiero tuż po czwartej drzwi otwierają się ze szczęknięciem i staje w nich pani domu. Mijając toaletę, w której Ruby tkwi po łokcie w kolanku, marszczy nos i robi minę, jakby zobaczyła psią kupę na dywanie.

– Nadal w łazience? Coś wolno ci dzisiaj idzie.

Popatrz na siebie. Ruby nie odrywa wzroku od gąbki, którą szoruje muszlę.

– Dzień dobry, pani Ingram. Pani wybaczy, autobus utknął w korku.

– Autobus jeździ ekspresówką i nie stoi w korkach.

Ruby zagryza wargę.

– Tak, psze pani.

– Niech to się więcej nie powtórzy.

– Dobrze, psze pani.

Pani Ingram wciąga powietrze nosem, wężąc jak pies.

– Cóż to za przykry zapach? Nie masz w domu prysznic?

Nie, psze pani, myję się pod hydrantem na ulicy, bo jestem z South Central i tak to się u nas robi.

– Przepraszam, psze pani.

W normalnych okolicznościach biali traktują pomoc domową jak powietrze. Dziś jednak pani Ingram, przebrawszy się i odświeżywszy, czepia się Ruby, co najmniej jakby oczekiwała wizyty fotografa z „Better Homes and Gardens”. Pewnie miała

kiepski dzień w biurze, domyśla się Ruby, albo może zwyczajnie się nudzi. Przesuwa palcami po powierzchniach, zbiera niewidoczne koty z kurzu i sprawdza wilgotność ścierki, którą Ruby myje zlew.

Najlepiej w takich sytuacjach obrócić wszystko w zabawę w podwójne znaczenia. Pani Ingram doskonale się do tego nadaje. Nie ma męża, używa dużo jasnoczerwonej szminki i nosi obcisłe sweterki, które podkreślają jej sterczące piersi.

– Dobrze pocieram, pani Ingram? Czy jest wystarczająco wilgotna, pani Ingram? Mam to wepchnąć głębiej, pani Ingram?

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby któraś z kobiet Sunnylakes się połapała. Większość zachowuje się, jakby połknęła kij od szczotki, i trudno sobie wyobrazić, że ktokolwiek tutaj w ogóle uprawia seks. Pani Ingram uśmiecha się blado, chodzi tam i z powrotem po swoim czystym, pachnącym domu, pudruje swoją czystą, pachnącą twarz i prycha, i syczy, i narzeka.

Kiedy Ruby znów sprawdza godzinę, jest już prawie piąta. Na szczęście Joyce Haney nie liczy czasu. Próby zapanowania nad dziećmi wyczerpują ją do tego stopnia, że brakuje jej energii, by jeszcze wieszać się na służącej. Czasem otwiera napój gazowany i pokazuje Ruby swoje robótki. Rozmawiają o wzorach, rodzinie i dzieciach. Joyce wlicza to do godzin pracy.

Kwadrans po piątej Ruby zbiera środki czystości, wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Będąc na podjeździe, zauważa ruch zasłony w oknie. Pani Ingram odprowadza ją wzrokiem.

Pomiędzy drzewami przeświecają złote promienie popołudniowego słońca. Ruby idzie, prostując nogi i machając

rękami. Najgorsza część dnia już za nią. Jeszcze tylko dwie godziny i będzie mogła wrócić do domu z trzema dolarami w kieszeni.

Nagle ciszę zakłóca ryk silnika. Z podjazdu przed domem Haneyów z hukiem wypada samochód i prędko oddala się w stronę President Avenue. Srebrno-czarny crestliner z zielonymi tylnymi błotnikami. Pani Haney miała gości.

Dom Haneyów stoi w pewnym oddaleniu od ulicy, ponieważ z drugiej strony działka schodzi w kierunku jeziora. W tej części Sunnylakes rosną stare drzewa o groźnym wyglądzie, za którymi Ruby nie przepada, zwłaszcza zimą, kiedy ma wrażenie, że wśród posępnych konarów czai się licho. Za budynkiem drzewa wycięto, aby odsłonić widok na wodę, tyle że pan Haney wznosił wysoki drewniany płot – który raz do roku wiosną maluje na biało – skutkiem czego z okien i tak nie widać nic poza schludnymi deskami.

Ruby zatrzymuje się w pół kroku. Na podjeździe stoi auto Joyce. Drzwi do domu są zamknięte. Rosnące przy wejściu rośliny marnieją w słońcu.

Coś jest nie w porządku. Ruby czuje mrowienie w brzuchu.

Nastawia ucha. Przez otwarte okna wpada do środka świeże powietrze, ale za zasłonami w salonie panuje martwa cisza, na zewnątrz nie wydostają się żadne dźwięki – nie słychać brzęku naczyń, wrzasków dzieci ani paplaniny z radia.

Kątem oka zauważa ruch i obraca się na pięcie. Jakaś barwna plama przemyka między drzewami. Wiatr wpada pod spódnicę Ruby i przyprawia dziewczynę o dreszcze. Ruby zwija dłonie w pięści i stara się zapanować nad oddechem.

– Halo? Jest tam kto?

Zza pnia wychyla się głowa dziecka. Jasne blond kosmyki spływają na wielkie, niebieskie, mokre od łez oczy. Barbara. Córka Joyce.

Ruby klęka na miękkim dywanie z sosnowych igieł. Wyciąga ręce.

– Chodź do mnie, Barbaro. Co tu robisz, dziecko?

– Czekam.

– Na kogo?

– Na mamę Joanie.

Ruby musi sobie przypomnieć, kim jest Joanie. To najlepsza koleżanka Barbary, córka państwa Ketteringów, którzy mieszkają po sąsiedzku.

– Chodź – mówi. – Pójdziemy do domu.

– Obiecałam, że zaczekam.

– No, ale widzisz, że mama Joanie nie przyszła. Zaprowadzę cię do domu.

– Nie chcę.

– Ale zaraz kolacja.

– Nie.

W oczach dziewczynki Ruby dostrzega coś, co sprawia, że jej dłoń zaczyna się trząść. Barbara łypie w stronę budynku, jakby zamieszkały w nim straszdyło albo smok.

– Barbaro, gdzie jest twoja mama?

– Kazała mi zaczekać.

– Pójdziemy do niej?

Barbara spuszcza wzrok.

– Narobili bałaganu, Ubi.

– Moja w tym głowa, żeby posprzątać. Chodź, skarbie.

Barbara odkleja plecy od drzewa i podaje Ruby rękę. Ruszają w kierunku domu. Barbara ma rozpaloną dłoń. Jej drobne paznokietki wbijają się w skórę Ruby.

Ruby dzwoni do drzwi. Nikt nie otwiera, ale po drugiej stronie Lily zaczyna płakać.

– Pani Haney? Joyce! – woła Ruby i ponownie naciska guzik dzwonka.

Mrowienie przechodzi w bolesne ukłucia w piersi. Dziewczynka ochrypła, płacze rozpaczliwie, jakby myślała, że już nigdy nikt do niej nie przyjdzie.

Ruby sięga po zapasowy klucz, ukryty pod stojącym przy drzwiach porcelanowym orłem, wkłada go do zamka i przekręca. W korytarzu panuje porządek, na kredensie stoją świeże kwiaty w wazonie. Dom Haneyów ma mezanin – po pierwszym dniu pracy musiała sprawdzić w słowniku, co to znaczy, i okazało się, że po prostu półpiętro – sypialnie razem z dużą łazienką znajdują się w połowie schodów.

Z pokoju dziecinnego dobiega zawołanie Lily.

Lawendowa wykładzina tłumi odgłos kroków Ruby, która biegnąc do płaczącej małej, pokonuje po dwa stopnie. Rzuciła się do drzwi i je otwiera. Lily siedzi w łóżeczku, ma czerwoną, zapuchniętą buzię i mokre od łez oczy. W pomieszczeniu unosi się nieprzyjemny zapach. Pielucha dziewczynki jest przemoczona, zawartość częściowo przesiąkła przez materiał i zabrudziła śpioszki.

Ruby wyjmuje Lily z łóżeczka i rozpina jej ubranko, a wtedy mała zaczyna wierzcąc nóżkami i głośno krzyczeć. Podczas przewijania uwalnia się duszący fetor. Ruby wyciera Lily szmatką i odkłada na bok brudną pieluchę. Kiedy sięga po

czystą, do pokoju wchodzi Barbara i siada na podłodze. Jej usta drżą, a oczy wypełniają się łzami.

– Barbaro, skarbie, co się dzieje? – Ruby kończy zakładając pieluchę i próbuje postawić wrzeszczącą Lily, ale mała wali ją w pierś. – Gdzie twoja mama?

– Nie ma ich tutaj – mówi Barbara. – Narobili bałaganu.

Ruby ściąga brwi i zastanawia się, co też mogło się wydarzyć. Może Joyce musiała pilnie wyjść z domu? Może wezwała ją przyjaciółka w potrzebie? Może zapomniała kupić kotlety na kolację? Ale skoro jej auto stoi na podjeździe...

Nie powinna tu zostawać. W tym domu dzieje się coś dziwnego i to nie jest jej problem. Poza tym, kiedy pan Haney wróci i zobaczy, że jego dzieci siedzą same ze służącą, chyba padnie na zawał.

– Barbaro, posłuchaj – mówi. – Zadzwońię do pani Kettering i poproszę, żeby do was przysłała. Zajmie się wami do powrotu mamy, dobrze?

Barbara nie odpowiada.

– Zejdiesz ze mną na dół, skarbie?

Barbara potrząsa głową.

– No to nie.

Ruby opiera sobie Lily na biodrze. Dziwnie się czuje, będąc w tym domu sama – bo teraz już ma pewność, że jest tu jedyną dorosłą osobą. W korytarzu zdejmuje słuchawkę z widełek i zaczyna przerzucać kartki niewielkiego notesiku o złotych brzegach, aż dociera do litery K.

Później nie będzie potrafiła sobie przypomnieć, w którym momencie Barbara prześlizgnęła się obok niej, ale dziewczynka nagle staje w drzwiach do kuchni i patrząc pełnym

przerażenia wzrokiem, wyciąga upačkaną rękę i mówi drżącym głosem:

– Nie posprzątam tego, Ubi.

– Nic się nie martw, skarbie. – Ruby przekłada Lily na drugie biodro, za co mała odpłaca się kopniakiem w brzuch. – Zajmę się tym.

Jej spojrzenie pada na dłonie Barbary i grunt usuwa się Ruby spod nóg. Skóra dziewczynki jest pokryta skorupą zaschniętego szkarłatnego brudu.

To krew.

Ruby dopada do Barbary, odciąga ją od drzwi, po czym sama zagłąda do kuchni.

Widzi kałuże na podłodze. W jednej z nich zmięta ściereczka i pogniecione, nasiąknięte czerwienią listki papierowego ręcznika. Wpadające do środka promienie słońca rzucają na płytki widmowe cienie kwiatów stojących na parapecie. One też są zakrwawione, usmarowane i lepkie, ohydne jak diabelski jęzor.

Ruby przyciska Lily do piersi, z której dobywa się przerażliwy krzyk.